



SYSTEM SZTUKI I DESIGNU

No 3/2021

ZIN FELIETONOWY / ISSN 2719-9150
AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W GDAŃSKU

Felieton (fr. feuilleton „zeszycik, odcinek powieści”) – gatunek publicystyczny, krótki utwór dziennikarski (prasowy, radiowy, telewizyjny) utrzymany w osobistym tonie, lekki w formie, wyrażający punkt widzenia autora. Porusza i komentuje aktualne tematy społeczne, zwraca uwagę na ujemne zjawiska w życiu codziennym, często wykorzystując do tego elementy satyry, ironii, humoru itp. Wprowadza elementy fikcji literackiej. Cechuje się jednak faktograficznością i dokumentarnością – jego punktem wyjścia są prawdziwe wydarzenia, przetwarza konkretne fakty. Z tej perspektywy felieton znajduje się na granicy między literaturą faktu, a literaturą artystyczną.

źródło: wikipedia.org

Sebastian Choromański *s. 4–12*

Adam Kamiński *s. 13–21*

Zbigniew Jan Mańkowski *s. 22–35*

Piotr Paluch *s. 36–42*

Justyna Skowronek *s. 43–52*

Mariusz Wrona *s. 53–62*

Sebastian Choromański

Elektroniczny dziadzi

Wszelkie znaki w tym materiale stawiam w strumieniu światłości wywołanym o własnych siłach, bo choć wciąż gloryfikuję koper, to nie tak żarliwie jakbym chciał. Chwilowo nie mogę, bo pracuje nad tym, żeby kiedyś móc robić tylko to, i żeby znów było jak było. Allelujah!

Małolaci i zgredy to znany mit, a nie sposób go obalić we współczesnych czasach, kiedy nie wszyscy nadążają, przykładowo

z namysłem stukają jednym palcem po klawiaturze poszukując liter w stogu siana. W tym samym czasie ktoś młodszy bez patrzenia na telefon pisze wiadomość na dotykowym ekranie i równocześnie ogląda filmik na urządzeniu kolegi. I to po angielsku. I to bez napisów. I bez lektora. I też w Polsce.

Prężnie rozwijająca się nauka zrówna kiedyś światy zgredów i małolatów, a potem pewnie znowu je oddali. To gdybanie opieram na kole, którym – jak czuję – toczy się ludzkość. Punktem

zero ruchu są dla mnie jaskiniowcy. Pierwsze pokolenia pierwotnych były do siebie podobne. Pojawiali się małolaci, starzeli się, a młodszy *homo sapiens* bрал z nich przykład i tak sobie żyli bez rozwoju. Potem jakiś facet albo facetka (pierwszy i ostatni raz marnuję znaki na poprawność w tym tekście) wpadli na pomysł, że jak się potrzeba dwa przedmioty, to można rozpalić ognisko. Zgredy zapewne bały się innowacji. Może nawet upadła przez to jakaś religia, a ktoś obrażony postanowił

odejść od stada heretyków rozniecających płomienie i zdechł gdzieś w samotę. To musiał być hit. Małolaci robili małolatów i uczyli ich krzesać iskry. W końcu nie było nikogo, kto pamiętałby czasy bez ognia.

Dzisiaj kagankiem oświaty jest nie wiem co, ale religia zaczyna być bekowym memem. Bóg (wielką literę stawiam dla moich wierzących kolegów oraz dlatego, że zaczyna zdanie... Zostawiam to double tempo do rozkminy) swoje istnienie broni

w dyskusjach argumentem, że to kwestia wiary czy płoną-
cy krzak może się nie spalać i czy może przy tym mówić
i dawać kamienne tablice z przykazaniami gościowi z brodą.
Chciałem dodać, że kwestią wiary może być to, że wierzę, ale
nie sprawdzę, czy jak przez dupę wsadzę sobie rękę w gardło
i chwycę język i pociągnę go, to przewrócę się na lewą stronę...
jednak daruję sobie takie podśmiejki.

Są jeszcze ludzie, którzy próbują ratować Kościół jako, pozwolę sobie powiedzieć „subkulturę”, np. Ojciec Szóstak. Bardzo inteligentny facet i po sprawdzeniu kilku rozmów na youtube stwierdzam, że ma wszystko poukładane w bani. Odniosłem wrażenie, że facet nadaża za światem i wie, że jeżeli Wspólnota Kościoła ma przetrwać, to religia musi przemianować się na filozofię i przerzucić biblijne historie z szuflady „tak było” do szuflady „koany chrześcijaństwa zen”.

Teraz małolaci mogą być już zgredami dla kogoś, tzn. nie musisz być w wieku czyjegoś starego, żeby nie wiedzieć jakie kreśkówki teraz oglądają jego rówieśnicy, albo dowiedzieć się, że Twoje relikty dzieciństwa to obciach. Pamiętam, że jak byłem małolatem, to ludzie 10–15 lat starsi już nie czaili co się dzieje w naszym małolackim świecie. Przykładem jest Żabson (ma coś ok. 24 lata), w jednym z wywiadów powiedział, że wyczuwa różnicę pokoleniową w stosunku do 4 lata młodszych

od siebie fanów.

Częstotliwość pojawiania się granicy między pokoleniami gęstnieje. Ludzkość kręci się już tak szybko, jak kołpak w pędzącym samochodzie. Zaraz musi zacząć sprawiać wrażenie, że zatrzymuje się w miejscu, a potem powoli się cofa..., i tak było i będzie, i gimby nie znają i nie ma znów gimnazjum... Ale ja to w strumieniu świadomości małolaci. W streamingu się znaczy.

Adam Kamiński

Bo u nas zawsze tak było...

Głównodowodzący instytucją Adresat nie odpisuje na oficjalne pismo dotyczące realnego problemu, który wymaga natychmiastowego rozwiązania.

Bo u nas zawsze tak było...

Specjaliści ważnej instytucji państwowej oddelegowani do szkolenia, stawiają się na spotkanie spóźnieni 20 min., dodatkowo „uzbrojeni” w prywatny sprzęt komputerowy.

Bo u nas zawsze tak było...

Nowoprzybyły menedżer średniego szczebla zaczyna swoją działalność od kwestionowania, podważania, a następnie zmiany wszystkiego, co ustalono przed jego nastaniem.

Bo u nas zawsze tak było...

Koleżanka z biura awansowała. Już nie proponuje kawy i spontanicznej rozmowy o niczym.

Bo u nas zawsze tak było...

Dwunastolatek otwarcie zadaje mi pytanie, ile powinien mi zapłacić pieniędzy, abym wywrócił się przed nim na rowerze.

U nas zawsze tak było?

Historie „prawdziwe” dzieją się dookoła i w dodatku nieustannie. Mam wrażenie istnienia w świecie złożonym wyłącznie z paradoksów i wzajemnie wykluczających się sytuacji. Jeszcze kilkanaście, nawet kilka lat temu byłem wewnętrznie przekonany, że nasza cywilizacja wykształciła wiele

mechanizmów adaptujących ludzi do nadchodzących zmian – wszelakich zmian. Dzisiejsze tempo „wirowania” rzeczywistości sprawia, że kompletnie nie mam już takiej pewności. Wprost przeciwnie, to co jeszcze „wczoraj” było zapowiedzią, dzisiaj zniknęło w odmętach wirtualnego mazutu. To czego uczyłem się o kulturze świata i ludzi, o dziedzictwie i wartościach, wydaje się być jak pradawna wiedza, szeptem przekazywana wprost do ucha. Gdy tylko wychyla się z lekka na powierzchnię jest

linczowana trywialnym śmiechem rzeczywistości.

„Globalna architektura modyfikacji behawioralnych”, zmienia paradygmat, dokonuje przewrotu, którego dotąd nie poznaliśmy. Przewidywanie i kontrolowanie zachowań ludzi za pomocą cyfrowej inwigilacji stymuluje coraz więcej procesów kuszących obietnicami zysku, co w efekcie zniekształca naszą naturę i popycha w kierunku pozbawienia wolności i przyszłości. Tak obecną sytuację opisuje w swojej książce zatytułowanej

„Wiek kapitalizmu inwigilacji” profesor Shoshana Zuboff. Trudno się nie zgodzić i trudno nie przyznać racji trafnej diagnozie autorki. Mnie przekonuje.

Przez wiele lat mojej aktywności mniej lub bardziej świadomie polemizowałem i walczyłem z bezsensem rzeczywistych zdarzeń utrudniających funkcjonowanie moje i innych. Miliony zbędnych czynności wykonywanych z powodu niekompetencji kogoś lub niefunkcjonalności czegoś, czemu i tak był winien

ktoś, doprowadzały mnie do stanu permanentnej frustracji wyniszczając moją determinację. Przypominało to nieustanne sprzątanie pokoju, w którym porozrzucane klocki, samochodziki i książki to tylko część problemów, ze mną – Syzyfem, w roli głównej.

Równolegle do moich wszelkich aktywności tak prywatnych jak zawodowych, zmieniały się sposoby komunikacji, standardy wizualne i wszelkie inne trendy, co w efekcie zacierało

bezpowrotnie ślad po tych poprzednich, którymi posługiwałem się ja sprzed lat. Ta egzystencjalna schizofrenia wykreowała kilku kolejnych mnie samych, którzy to od lat żyją w moim wnętrzu i niczym kolejni bliźniacy wkraczają do akcji wywołani stosownym bodźcem. Od czasu do czasu jestem portierem, kurierem, profesorem, bokserem, kochankiem, ojcem, biznesmenem, ale i zwykłym nudziarzem zabiegającym o skuteczność swoich poczynąń. Może jednak zawsze u mnie tak było...?

Zbigniew Jan Mańkowski

było, ale się z-było, czyli trzy estetyki

Co też takiego było (i jest) w naszej kulturze? W długim kulturowym trwaniu ukształtowała się pewna swoista estetyka, będąca mieszaniną życia, kultury i cywilizacji – głównie łacińskiej. Nazwijmy ją tradycyjną, albo pierwszą estetyką, potem przyszedł czas pogromu i wojny, nastąpiło królowanie nowej / drugiej estetyki, można by ją określić mianem socjalistycznej lub mówiąc dosadniej – totalitarnej. A dziś? Dzisiaj króluje już zupełnie inna, kolejna nowa estetyka – zbudowana na fragmentach

i szczątkach tamtych dwu i uzupełniona o przekonania, często przesady, późnej nowoczesności. Jak ją nazwać? Najprościej będzie określić ją w zgodzie z historycznym następstwem – późna albo trzecia estetyka. Słowem, trzy estetyki i ich wpływ na nasze życie.

Dlaczego zwracam uwagę akurat na estetykę? Bo jest ona w życiu najważniejsza, aczkolwiek lekceważona i pomijana. I staje się rzeczywista, kiedy wypełnia się etyką. No niektórzy

zgodzą się tylko na stwierdzenie, że jest co najwyżej istotna?
A jednak wyobraźcie sobie Państwo, że wybieracie męża lub żonę,
lub kogoś bliskiego, kto na początku Wam się zewnętrźnie nie
podoba? No oczywiście ktoś powie z przekorą, że on wybiera
właśnie tak, żeby udowodnić sobie i bliźnim, że fizyczność nie
ma znaczenia, że to, co Dobre tkwi w głębi, i że powierzchwnia
istnienia jest zwodniczym kulturowym kłamstwem. I idąc dalej
w swej przewrotnej logice, kupuje do domu sprzęty, które mu

się zupełnie nie podobają – wszystko tylko po to, żeby odsłonić tę zapomnianą prawdę istnienia. Przy okazji warto podkreślić, że brzydota jest naszym częstym dotkliwym losem; brzydota wizualna, ale także ta określająca czyny i słowa. Wystarczy popatrzeć na osiedlowe szare garaże – ewidentny dotkliwy ślad życia drugiej estetyki.

Wydaje się, że niemal nikt nie pamięta o estetyce. Kilka lat temu jeden znaczący polski polityk wspomniał o kształceniu

estetycznym w szkole, ale w dobie powszechnego społeczno-kulturowego przeciągania liny te plany gdzieś zginęły między politycznymi nasizmami. W takim razie – Jak cię widzą, tak cię piszą? W dużej mierze istniejemy w stopniu, w jakim jesteśmy społecznie dostrzegani, uznawani, i na ile wydajemy się atrakcyjni. Wtedy i nasza mądrość, jeśli jakowaś gdzieś się ukrywa w zakamarkach naszych organizmów, ma większe prawo zaistnieć. Jako długoletni nauczyciel wiem, że w szkole ładni

uczniowie (czytaj: estetycznie wyglądający, cieszący się swoją urodą) mają łatwiej i są lepiej oceniani. Stare przywołane przeze mnie porzekadło niosło prawdę. Ale zarazem wszystko, to co stare i jare, oraz to, co tworzyło utrwaloną w tradycji estetykę, może całkowicie nie odeszło do życiowego lamusa, ale się z-było – przewartościowało, zmieniło i żyje już innym życiem.

Zacznijmy, może nie od Adama i Ewy, ale od jakiegoś bliższego naszym czasom początku, wracając do pierwszej estetyki.

Tworzyła ją starożytność, rozbudowała nowożytność i skomplikowała długo trwająca współczesność. Tak czy inaczej jej przekonania wyraża piękny i pamiętany wiersz Zbigniewa Herberta pt. *Potęga smaku*. Już jego tytuł mówi wszystko: smak to potęga, która buduje kultury i cywilizacje. Smak, „w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia” – jak pisał poeta. Byliśmy i pozostaniemy kalotropistami, poszukiwaczami piękna, które ten smak w istocie określa, ale też wyraża w życiowych

praktykach. Ten smak także zbudował kapitalizm. Piękno Platona było widomym śladem istnienia czegoś prawdziwego i wiecznego. Kiedy jednak w naszych czasach to, co wieczne i prawdziwie zdekonstruowano, to położyło się cieniem na naszym widzeniu i rozumieniu piękna. Coraz trudniej o nie i coraz cięższe i tworzyć i dostrzegać. Coraz trudniej o miarę, ważenie myśli i proporcje sądów. I coraz trudniej o piękno odpowiedzialne za etykę. W tradycji piękno musiało być dobre (gr. kalokagatia).

Ale mimo częstych lamentów ono istnieje, ożywa i ma się dobrze – choćby w naszych stałych pragnieniach, niekiedy w sztuce. Bywa i objawia się na powierzchni rzeczy i zjawisk; innym razem odsłania się w czynach, w dobrych, szlachetnych intencjach, a kiedy indziej – w prowokujących i dających do myślenia obrazach.

Druga estetyka była wielopłaszczyznowo przepełniona brzydotą, fałszowaną wielkością i próbami obalenia pierwszej estetyki.

Niosła zmianę motywowaną historyczną koniecznością, z której często czyniła fałszywe bóstwo. U Herberta znajdziemy na jej temat kilka ciekawych obrazów: pojawia się w wierszu „samogonny Mefisto w leninowskiej kurtce” posyłający „w teren wnuczeta Aurory / chłopców o twarzach ziemniaczanych / bardzo brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach”. Świat drugiej estetyki z jednej strony wypełniały „parciana retoryka” oraz morze nieżyciowej brzydoty, co pozbawiało ją urody nie

tylko – jak pisze wzniośle Herbert – łacińskich koniunktywów. Z drugiej strony totalitarno-rewolucyjna estetyka była naznaczona wprost nieludzkim złem: „łańcuchami tautologii”, „pojęciami jak cepy” i „dialektyką oprawców”, którzy nie zważali na „żadne dystynkcje w rozumowaniu”, gardząc tym, co estetyczne w jego wielu wymiarach – zwłaszcza w wymiarze piękna jako szczególnie tego, co dobre i prawdziwe, głęboko skrywane w duszy człowieka i do pełni życia potrzebne.

Trzecia estetyka rodzi się z siły pierwszej, i często obumiera z powodu dziedzictwa drugiej. Piękno staje się w niej często powierzchowne i prześwieca pustką; brakuje mu proporcji i już nie rozpoznaje kanonów. Powierzchnowość króluje na komercyjnych wybiegach. Jej kondycję najcelniej już przed laty wyraził poetycko Eugenio Montale: „nadmiar pełni udaje nadmiar pustki”. Jacy w takim razie jesteśmy na społecznym świeczniku? Bo też najbardziej mam na myśli to, co dzieje się publicznie

i na współczesnej agorze. Zbyt często byle jacy? Brzydcy? (Na szczęście są także piękne wyjątki!). Niepięknii na pewno – choć coraz częściej dobrze ubrani z „parcianą retoryką” i bez urody gramatyki, ale za to z nieuświadomionymi „gramatykami nihilizmu”. Ale także niestety obciążeni złą estetyką i „bez smaku”, „który – jak pisze Zbigniew Herbert – każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo / choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała / głowa”.

Piotr Paluch

Sztuka chyba nie jest istotna

Często wspominam okolice roku 2000. Wejście w nowe mil-
lenium osnute było szczyptą tajemnicy. Mówiło się, że wirus
komputerowy Czarnobyl spali wszystkie pecety podłączone do
prądu, sporo też gadało się o nadciągającym końcu świata. To
czasy, w których Polaków dzielił stosunek emocjonalny do di-
sco polo, a nie typowe dziś lewo/prawo. Razem z przemijają-
cym narodowym nurtem muzycznym bledły gwiazdy *Bayer Full*,
Boys czy nawet *Akcentu*, a ich miejsce zastąpili pierwsi polscy

celebryci – pierwsi sławni ludzie znikąd! Bez przeszłości politycznej, bez umiejętności grania na keyboardzie, nie-piłkarze, nie-modelki, po prostu pierwsi ludzie w Big Brotherze.

I tak Manuela z Big Brothera stała się wzorem, jak być beko-
wą i lubianą osobą, a milczący Janusz Dzieńcioł – jak wygrywać.
Trochę głupie, nieco urocze, legendarne.

Przez dwie dekady pozmieniało się. Celebryci rozmnożyli
się jak sklepy Żabka, a stosunek proporcji Polak-celebryta do

zwykłego Polaka-anonima oscyluje w okolicach 1:1. Telewizja z epicentrum nowości stała się domem spokojnej starości dla celebrytów właśnie, taki odpowiednik Arabii Saudyjskiej dla piłkarzy. Hmmmmm..., „świat stanął na chuju i tańczy sobie breaka”, jak rapował Wojtek Sokół w czasach, gdy był jeszcze młody, a rap nie był trapez.

Celebryci są dzisiaj inni, działają za pośrednictwem *Instagrama*, *Tik-Toka* czy oldschoolowego już *Youtuba*.

Wykształciły się gatunki i podgatunki. Są tacy, co streamują granie w grę komputerową, są i patostreamerzy, co za donejta 20 zł jebną z główki w ścianę lub co gorsza, komuś z najbliższych. Są modele i modelki, którzy słyną z poprawiania włosów w windzie lub strzelania sobie selfie na siłowni. Zasięg jest ogromny – setki tysięcy followersów i dziesiątki milionów odtworzeń. Jest podaż i popyt.

Ktoś kiedyś powiedział, że sztuka jest po to, żeby wrzało. Dawno temu może i tak było, ale teraz to nie wiem. Wrzało wokół afer korupcyjnych w PZPN czy słynnego Amber Gold. W Sejmie gotuje się na mocnym ogniu pod przykrywką. Wrzało wokół rozwodu Premiera Polski Marcinkiewicza czy Marcinkowskiego. Aktualnie mocno bulgocze w kotle o nazwie LGBTQ, do którego ktoś notorycznie dosypuje Żołnierzy Wyklętych – uwaga może wykipieć.

A co ze sztuką? Parę razy zawrzała, a raczej przypaliła się słynna Tęcza w Warszawie. Coś jeszcze było?

Justyna Skowronek

Zawsze / nigdy tak nie było

Według językoznawców zawsze to stary zrost, utworzony z połączenia *za i wsze* [czas]. Oznacza – w ciągu całego czasu, który się ogarnia myślą; ale też – wciąż, stale, nieustannie. Ciekawostką jest fakt, że słowo *zawsze* występuje tylko w zdaniach z niezaprzeczonym orzeczeniem, w dodatku koniecznie wyrażonym czasownikiem niedokonanym. Mówimy „*zawsze będę tworzyć*” a nie „*zawsze nie będę tworzyć*”. Kiedy zaprzeczamy, zamieniamy *zawsze* na *nigdy* i mówimy

„nigdy nie będę tworzyć”.

Ale czy w takim razie „zawsze tak było” i „nigdy tak nie było” może mieć podobne znaczenie?

W codziennych, międzyludzkich kontaktach obydwie stwierdzenia mogą oznaczać niechęć do czegoś nowego czy innego, krótko mówiąc – zmiany. Przy czym „nigdy” ma nieco bardziej kategoryczny charakter, użycie zawsze na ogół nie zamyka sprawy, może rodzić następne pytania, np. co, jak i kiedy

było. Warto zdać sobie sprawę, że mówiąc „zawsze tak było” możemy znaleźć się na samym początku drogi do poznawania struktury rzeczywistości na przestrzeni jej dziejów – w jakimś określonym aspekcie.

Zaś lokując to zdanie w dziedzinie sztuki i designu zyskujemy możliwości, których absolutnie nie sposób znaleźć w stwierdzeniu „nigdy tak nie było”.

Moje własne, pierwsze skojarzenie do zdania „zawsze tak

było” to architektura, kolejne – muzea. Dlaczego przychodzi mi na myśl właśnie architektura starych i dobrze zachowanych miast, takich jak Brugia – flamandzka Wenecja, Paryż – jeszcze przed pożarem katedry Notre Dame czy Jerozolima z jej słynnym syndromem? Myślę, że większość z nas potrafiłaby wskazać sytuacje, w których architektura i zabytki wywoływały przeżycie na kształt twórczego niepokoju, zderzającego naszą wcześniejszą wiedzę czy wyobrażenia z tym konkretnym

miejscem na ziemi. Ekscytację, a być może rozczarowanie związane z realną obecnością i doświadczaniem.

Wspomniałam także o muzeach. To naturalne, najstarsze i dawne obiekty architektoniczne stają się nimi niejako z mocy czasu. Ale tutaj chciałabym przywołać *Ellis Island* oraz *9/11 Memorial & Museum* – dwa miejsca pamięci w Nowym Jorku, dokumentujące nie tak odległe wydarzenia. Pierwsze, to znana mi wcześniej z filmów i literatury (polecam „Wyspę klucz”

Małgorzaty Szejnert) brama do Ameryki czyli centrum przyjmowania imigrantów przybywających do Stanów Zjednoczonych od końca XIX wieku do połowy lat 50-tych XX wieku. Drugie, to upamiętnienie ofiar zamachów terrorystycznych na World Trade Center z 11 września 2001 roku. Obydwa muzea, chociaż zupełnie różne, stanowią kompletny, wręcz źródłowy, obejmujący zdjęcia, przedmioty i statystyki, przejmujący wizerunek kwestii, które istnieją i zawsze były, a więc migracji

i bezpieczeństwa. Wyspa Ellis Island, przez którą przewinęło się blisko 12 milionów ludzi, emigrantów polskich, żydowskich, niemieckich czy włoskich oraz wielu, wielu innych, przywożących do nowego miejsca własne „zawsze tak było”. Ellis Island działało kilkadziesiąt lat, „Strefa zero” w centrum Manhattanu powstała niespodziewanie i szybko, wręcz błyskawicznie. Obydwa te miejsca, wraz z nową One WTC (Freedom Tower), której architektura pokazuje, że tragedia 11 września

nie zatrzymała rozwoju miasta, są symbolami Nowego Jorku. A jednak, to zachowany w podziemiach widok potężnych fundamentów zniszczonych *Twin Towers*, zmienił najbardziej moją perspektywę patrzenia na to miasto, które wcześniej, podobnie jak wszyscy turyści, zwiedzałam zadzierając głowę w górę.

Odwiedzając niektóre miejsca czy muzea, zawsze uświadamiam sobie, jak niesamowita siła tkwi zarówno w słowie zawsze, jak i w słowach tak było. Jeśli pogłębiany te pojęcia,

zmieniają się nasze emocje, wrażenia i wyobrażenia. Dzięki literaturze, sztuce, architekturze, a także wielu innym dyscyplinom możemy obejmować osobistym doświadczeniem miejsca i wydarzenia nieprzynależne bezpośrednio do naszego życia, a jednak istotne i inspirujące, dokonujące zmiany w nas samych. Stwierdzenie „zawsze tak było” może stać się ważną refleksją i wielką przygodą, zwłaszcza, jeśli uświadomimy sobie jeszcze jak, co, kiedy i dlaczego... było.

Mariusz Wrona

Niby lato, niby ogórki..., ale tutaj zawsze tak było.

Wydawać by się mogło, że lato w trakcie urlopów sprzyja tej jednej z najbardziej pożądanых potrzeb człowieka – regeneracji sił po trudach minionego roku. Zwłaszcza takiego – pandemicznego roku, w którym zastraszeni przez wirusa, system, polityków, ale na pewno przez jedną wielką niewiadomą, w czasie której każdy improwizował, jak potrafił. Po co? By jakoś przetrwać. By dotrwać do tej chwili, w której zerwani z obostrzeń jak psy z łańcuchów wylaliśmy się na ulice miast i kurortów.

Bardzo szybko zapomnieliśmy o zagrożeniu wynikającemu – póki co – ze wszechobecności wirusa, latem tylko na chwilę nieco uśpionego.

Kiedyś, gdy jeszcze nie mieszkałem w kurorcie, wsiadałem do pociągu (czasem nawet przez okno), by kilka, czasem kilkanaście godzin spędzić w zawieszeniu na plecach innych pasażerów, by dotrzeć do celu przeznaczenia. Do PRL-owskiego domu wczasowego, w którym wyposażenie pokoju z wykazem

sprzętów oprawionym w ramki weryfikowała obsługa odhaczając m.in. dostępność koca plażowego, parawanu. Wczasowicz kwitował odbiór dóbr i niewiele się zastanawiając o ich dalszy los, biegł na plażę. Czy kiedyś ludzi było mniej, czy może nie przeszkadzali aż tak bardzo swoją nachalnością? A może nie będąc autochtonem nie zwracałem uwagi na fakt, jak pięknie wygląda lato w kurorcie bez tych właśnie ludzi. Bez przyjezdnych.

Ostatnio uciekłem z plaży w Jelitkowie na Stogi. Wielkie było moje rozczarowanie, gdy w poszukiwaniu kawałka plaży dla siebie trzeba było oddalić się od pętli tramwajowej idąc trzydzieści minut przez las. Las z komarami. Okazało się, że azyl znalazłem po „wynaturzeniu”. Po dotarciu na plażę naga. Nie było wyjścia, by nie paść ofiarą ostracyzmu pozostałem w samych klapkach udając przed samym sobą, że do końca nagi nie zostałem. Właściwie to nic takiego. Adaptacja trwała

wyjątkowo krótko. A echo piosenki Wodeckiego śpiewanej jak mantra z częstotliwością 30 min. w audycji Lato z Radiem dwadzieścia lat temu potęgowało i utwierdzało mnie w bezpieczeństwie.

Leżąc skąpany słońcem, z piachem wlepionym w zakamarki ciała, przypomniał mi się wiersz Grzegorza Uzdąńskiego (z cyklu Nowe Wiersze Sławnych Poetów) publikowanych w Przekroju – Ludwik Jerzy Kern, *Polskie Lato*.

„Jak każdy wie,

w lecie

w Polsce robi się lepiej niż na całym świecie

(przy czym z tych samych przyczyn

przez całą resztę roku jest u nas raczej źle).

U innych – tak latem upalnie,

niebo bucha ukropem.

*Nasz upał da się przeżyć, siedząc pod wierzbą, jak Chopin,
a u nich tylko w wannie.*

*U nich nie przejdiesz ulicą, bo za dużo turystów
a u nas – bez problemu
(no chyba że Kraków i Rynek).*

Więc Polska jest latem naprawdę najlepsza na wypoczynek,

*choć nie zawsze tu czysto
i nie ma pand ani emu.”*

Zastanawiając się nad strofami wiersza natchną mnie refleksje:

- po pierwsze nic w Polsce w porównaniu ze światem nie robi się na lepsze;
- nasz ukrop porównywalny jest do ukropu świata;
- romantyków na skalę Chopina trudno nawet szukać;

- a jak ktoś nie widział tłumów, to niech zajrzy na główny sopocki deptak lub pobliską plażę...

Jakże aktualny jest zatem fragment zdania zawarty w tytule felietonu. A to raczej powód do wstydu a nie chluby.

SSD – System Sztuki i Designu

ZIN felietonowy

SSD to projekt, który powstał z potrzeby obserwacji świata i pisania. Komentujemy w nim rzeczywistość dla samej przyjemności opisywania naszych wniosków.

Nr 3/2021

Teksty:

Sebastian Choromański

Adam Kamiński

Zbigniew Jan Mańkowski

Piotr Paluch

Justyna Skowronek

Mariusz Wrona

Koncepcja serii:

Adam Kamiński / Piotr Paluch

Opracowanie graficzne:

Adam Kamiński

Korekta:

Mariusz Wrona

Wydawca:

Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku

Gdańsk 2021

ISSN 2719-9150

№ 3/2021

[powrót do spisu treści](#)